

WALERY PRZYBOROWSKI.

# CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

16)

Ubrany był w skórzany kaftan ze starożytnym ryngrafem na piersi, na którym na pół zatarte widać było malowidło Pogoni litewskiej. Nogi miał obute w wysokie cholewy, sięgające aż poza kolana i spięte tamże paskiem rzemieennym. Przy boku wisiał mu w blaszanej, zardzewiałej pochwie, prosty miecz, może na Krzyżakach pod Grunwaldem zdobyty, z rękojeścią w kształcie krzyża, w ręku zaś dzierżył nowożytną odtylcową dubeltówkę, zabraną przed paru dniami Stanisławowi.

W tem uzbrojeniu stryjaszek Józef ze swą krępą, nabitą postawą, wyglądał tak zabawnie, że ogólny śmiech wywołał. Nie zmieszał się jednak wcale, tylko stanął na środku pokoju z widocznym zadowoleniem na twarzy, jakby chciał powiedzieć:

— Podziwiałcie Koroniarze starożytnego rycerza litewskiego.

Smiano się więc, a Antek zawołał:

— Ki lichy stryjaszku, cóż to, wybierasz się na wojnę?

— Taj jakże serdeńko, przyrzekłem bratankowi Stanisławowi, że bronić będę drzwi jego domu i dlatego tak uzbroiwszy się.

— Przeciw komu myślisz stryjaszek bronić drzwi domu Stanisława?

— Nie wiem braciashku... ma być napad.

— Nie będzie żadnego napadu stryjaszku. Ale skąd u licha wyrwałś tę okrutną czapę i ten kaftan i ten miecz z czasów wojen krzyżowych chyba?

— Skąd?... z Litwy serdeńko. Murawiew chciał to zabrać, ale ja dobrze ukrywszy. Szukali, ale nie znaleźli. Hi! hi! hi! Ja serce w tej zbroi chodził na niedźwiedzie sam jeden w Ihumeńskim powiecie, a tu zbójcom zaleję sadła za skórę. Niech przychodzą, obaczą co to Litwin znaczy.

— Nie przyjdą stryjaszku żadne zbójce i niepotrzebnie tak się uzbroiłeś.

— Nic to nie szkodzi serce ty moje. I to dobrze, że zobaczycie jak Litwin prawdziwy wygląda. Może to wam odbierze ochotę do pretensji do Litwy. Ale o czemże wy tu radziwszy.

— Wiesz stryjaszek co? zamierzamy ogłosić tu Rzeczpospolitą.

— Nie wiem... nie słyszałem o tem. Cóż to będzie za Rzeczpospolita? Koroniarzka może, taka jaka dawniej bywszy?

— Nie, to nie będzie Rzeczpospolita szlachecka, ale ludowa.

— Niby chłopska?

— Niema w Polsce chłopów, ani szlachty, jest tylko lud, pracownicy uciemiężeni przez kapitał, przez burżujów. W naszej Rzeczypospolitej nie będzie kapitału, nie będzie proletariatu, ani nędzy, ani ucisku, wszyscy wezmą udział w wielkiej uczcie życia.

Mówił to Antek stojąc, z oczami rozpromienionymi, głosem podniesionym, z zapalem, który nagle jego twarz błędną i chorobliwie wykrzywioną ożywił i prawie piękną uczynił. Anielka też patrzyła w niego jak w tęczę, z pewnego rodzaju dumnym zachwytem.

— Zniesiemy wszystkie burżujskie urządzenia — mówił dalej Antek — które wymyślono dla uciskania ludzi.

— Zniesiemy małżeństwo, które skruwa ludzi na całe życie i czyni ich nieszczęśliwymi — dodała Anielka — miłość będzie wolną...

— Taj serce, ja to słyszałem już o tem — zaśpiewał stryjaszek Józef — tylko cóż powie na waszą Rzeczpospolitą stanowy przystaw?

— Jaki stanowy przystaw? — zapytał Antek — nie rozumiem...

— W Rosyi naczelników powiatu nazywają stanowymi przystawami — tłumaczył Stanisław.

— Aha, rozumiem — zawołał Antek — ale któż tam dziś myśli o jakichś naczelnikach powiatów. Wszystko to wymiemy, bo my tu teraz siłą, a nie jacyś tam stanowi przystawy.

— Hm! — mruknął stryjaszek Józef, zamyśliwszy się niby głęboko, a jego głęboko osadzone oczki biegały po obecnych z trudnym do określenia wyrazem ironii — osobiwszy to naród, ci Koroniarze, u nich wszystko z łatwością się robi. No, niech i tak będzie. Zmieciacie stanowych przystawów, ale

taki jest gubernator, jest rząd, jest wojsko, które, uważasz serdeńko, ma karabiny, co biją na wiorstę...

— I my mamy broń.

— Więc będzie bitwa?

— Będzie... jeżeli się okaże potrzeba.

— No... a jak was pobiją?

— Nie pobiją... nie mogą pobić. Wojsko będzie za nami.

— Tak? ha... kiedy tak, to i dobrze. Będzie tedy Rzeczpospolita polska.

— Nie polska, ale ludowa.

— Taki ja tego braciashku nie rozumiem. Wszak jesteś w Polsce?

— Niema Polski.

— A gdzie się podziała? Nie słyszałem o tem, żeby się w ziemię zapadła. A może się zapadła?

— Nie zapadła się wcale, tylko w nowym ustroju świata, nie będzie narodów rozdzielonych granicami, ale jedna ludzkość.

— Pięknie... ja okrutnie kocham ludzkość... ale cóż będzie z Litwą serce?

— Nie będzie żadnej Litwy.

Stryjaszek Józef podniósł się, wyprostował i rzekł:

— Ot, głupstwo wierutne. Wy braciashki róbcie sobie co chcecie, płódcie nowe głupstwa, świat widziawszy ich tyle, ale mi Litwy nie ruszajcie. A wara, a zasię, a kysz! a kysz!

I zawróciwszy szedł ku drzwiom, tu się zatrzymał i rzekł:

— Ty serce Antosiu nie rób głupstw. Daj ty pokój wszystkiemu, jedź do Lwowa, kończ nauki i będzie z ciebie człowiek, o Rzeczypospolitej nie myśl. Przyjdzie wojsko z generałem, zabierze was i wyśle na Sybir.

— Śmieję się stryjaszek z tego. Nie przyjdzie wojsko z generałem i nie wyśle mnie na Sybir.

— Obaczmy. A też paniusia Anielka niech nie myśli o wolnej miłości, bo co będzie, jak w tej wolnej miłości urodzi się takie maleńkie dziecięciśko? Hi! hi! hi! co będzie wtedy? A paniusia nie wiedziawsza o tem, że dziś Siergiej Bolesławowicz Kozłowski, koleżki asesora, oświadczywszy się musi paniusi. Hi! hi! hi!

To rzekłszy stryjaszek Józef ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom, otworzył je, wyszedł i z trzaskiem zamknął je za sobą. I słyhać było, jak się ciągle śmiał głośno.

## XXIII.

Siergiej Bolesławowicz miał tę naturę, że lubił kuć żelazo póki gorące, i tego, co postanowił, nie zwlekać, ale zaraz wykonać. Dostawszy, jak to mówi, odkosza od pani Magdaleny Schmid, nie zrażony tem wcale, zdecydował się uderzyć do pani Zenobii Kapuścińskiej, która choć stara, brzydka, zła, a w dodatku będąca z Siergiejem na stopie wojennej, a przytem obdarzona takim gagatkiem jak „Ferdzio sierotka“, posiadała jednak w oczach koleżki asesora tę arcyważną zaletę, że była posiadaczką dziesięciu tysięcy rubli w autentycznej monecie, kurs w kraju mającej.

Ten to wzgląd, przyznać należy, bardzo poważny, zmusił petersburskiego czynownika do zapomnienia wszystkich uraz, szyderstw z jego mocno sfatygowanych „niewypowiedzialności“, bolesnego żartu Ferdzia ze szpilkami w krzesle i z pęcherzem na plecach, nazywania dostojnej osoby Siergieja „małą zieloną“ i t. p. lamparcich figlów i wyzwisk.

Podczas więc, kiedy w sali Stanisław, Antek, Anielka i stryjaszek Józef toczyli spór o przyszłą Rzeczpospolitą, mającą być nazajutrz w sąsiednim miasteczku proklamowaną, Siergiej zapomniawszy zupełnie o „szpionie“ Jasińskim, zajęty jedynie myślą zdobycia grosza, wprost z ogrodu, w którym powziął genialną myśl zdobycia wcale nie nadobnej ręki pani Zenobii, ruszył do jej pokoju.

Zajmowała ona dużą komnatę o trzech oknach, wychodzących na ogród, w której wraz z Ferdziem sierotką się mieściła i nikogo do niej nie wpuszczała. To też, gdy Siergiej dyskretnie do drzwi zapukał, zdziwiona była bardzo i zaniepokojona mocno, bo zamknawszy starannie okna i drzwi na klucz, rozsiadła się wygodnie na aksamitnym fotelu i dobywszy z pod jedwabnej sukni olbrzymi worek, podobny do dziadowskiej torby, wysypała z niego paczki bankowych biletów na stół i licząc je, rozkoszowała się ich różnobarwnym wyglądem, marząc o tem, jak, dzięki tym pieniądzom, założy najwytworniejszą instytucję w Warszawie z najpiękniejszymi pannami, i jaki z tego źródła nieprzebrany mieć będzie dochód.

— Dam przystawowi dwieście blatów i wszystko będzie dobrze — mówiła sobie uśmiechając się oblesnie.

Właśnie w chwili takich marzeń, mających uszczęśliwić Warszawę i jej Ferdzia sierotkę, ozwał się pukanie Siergieja do drzwi. Wieczór już zapadał, ogromne lipy, rosnące pod oknem, rzucały na pokój mroczny cień, i pani Zenobia przeraziła się mocno, myśląc, że to jakiś napad na jej pieniądze, rozłożone na stole i błyszczące tęczowemi barwami „Katarzynek“, jak storubłówki nazywała w gwarze warszawskiej. Tem wydawało jej się to prawdopodobnijszem, że do jej pokoju nikt z mieszkańców dworu w Górach nigdy nie przychodził i nigdy nie pukał.

Resztki czerwonych włosów stanęły jej dębem na głowie i podniosły sztuczną perukę i tak już fantastycznie przekrzywioną, dzięki pochłonięciu znacznej ilości kieliszków wina i likieru przy obiedzie, miała jednak tyle przytomności, że co prędzej zgarnęła rozłożone banknoty i zapakowała je do przepaścistej torby, umieszczonej pod suknią jedwabną. Uskuteczniwszy to, gdy pukania poczęły się powtarzać, zapytała głosem nieco drżącym:

— A kto tam do pierona?

— Eto ja, lubieżna damo.

— Co za ja?

— Ja Siergiej Bolesławowicz Kozłowski.

— Kto taki? — zawołała „lubieżna dama“, nie dowierając własnym uszom.

Ale gdy po raz drugi usłyszała to nazwisko, wypowiedziane przyciszonym dyskretnie i jak najśłodszym głosem, nie mogła wątpić, że ten w „podartych portycetach czynownik“ puka do jej wdomieńskich drzwi. Pierwotne zdziwienie zmieniło się teraz w jej wyobraźni w obawę. Jak błyskawica przebiegła jej przez głowę myśl, że takie niespodziewane odwiedziny znieawidzonego Siergieja i do tego o zmroku, mają jakieś zbrodnicze cele, i że prawdopodobnie ten „goły jak bizon“ czynownik, korzystając z ciemności i samotności, czyha na całość jej „Katarzynek“, tak starannie ukrytych w przepaścistej torbie. Wszak popelniła ona grube głupstwo, chowając w obecności wszyskich te drogocenne papiery do owej torby, że Siergiej to widział i teraz przychodzi zabrać jej ten skarb, na którego płodną i zbawienną dla zdrowia publicznego działalność, tak dużo przed chwilą liczyła. Znowu jej włosy podniosły jeszcze wyżej przekrzywioną perukę, ale zdobywszy się na rozpaczliwy krok, jak wszyscy ludzie tchórliwi, usiłując głośnym wrzaskiem zastąpić brak odwagi, krzyknęła:

— Czego acan do pierona chcesz?

A acan słodziutkim głosem odezwał się z poza drzwi:

— Lubieżna damo, pozwól mię wpuścić do swej komnaty.

— Nie wpuszczę!

— Lubieżna damo!

— Ki dyabli! jak acan śmiesz nazywać mnie lubieżną damą? Ja jestem porządna kobieta, nie lubieżna.

Odzyskała zupełnie przytomność i pewność siebie i krzyczała teraz głosem przekupki warszawskiej:

— Won mi z pod drzwi wyporku petersburski! Będzie mnie tu wyzywał od lubieżnic. Jak wyjdę to ci pyski spierę... a to co? To żem nieszczęśliwa wdowa, że mnie po zbójce obdarli przy sukcesyi, to lada szuja ma sobie mną giębę wycierać! O niedoczekanie twoje. Won mi, mówię, pókim dobra!

Już teraz nie lękała się niczego. Przypomniawszy sobie marną, zawsze chwiejącą się na cienkich nogach postać Siergieja, przekonana była, że jednym uderzeniem swej potężnej i wcale nie kobiecej ręki, powali go na ziemię. Wszakże drzwi nie myślała otwierać, bo i po co?

Siergiej niezrażony tem przyjęciem, przygotowany zresztą na nie, nie przestawał molestować, by go „lubieżna dama“ raczyła wpuścić do środka, gdyż ma ważny do niej interes.

— Jaki jenteresz, pytała pani Zenobia — co ze jenteresza acan możesz mieć do mnie? Nie zawracaj mi acan kontramarki i wynos się, pókiś cały.

Ale Siergiej nie ustępował i coraz słodszy głosem błagał o chwilę rozmowy sam na sam, twierdząc, że to, co ma powiedzieć, jest rzeczą poważną i bezpośrednio panią Zenobię obchodzącą. Zaciekawiona wreszcie, co jej tak ważnego ma zakomunikować Siergiej, znudzona jego naleganiami, rzekła:

— Więc gadaj acan bez drzwi, słucham.

— Pozwólcie lubieżna damo, żebym wszedł do komnaty waszej.

— Nie potrzeba, gadaj acan bez drzwi, słucham.

Więc Siergiej widząc, że „lubieżna dama“ ubłagać się nie da, przybrał odpowiednią minę, ukląkł na jedno kolano, przyczem jego spodeńki nową dotkliwą ranę otrzymały, ręce złożył jak do modlitwy, zapominając, że pani Zenobia tego wszystkiego z poza zamkniętych drzwi widzieć nie może i zawołał: